

Dzwoni, dzwoni, tylko gdzie i po co, czyli o metafizyce telefonów komórkowych

20 września 2022



O spektaklu „A komórka dzwoni” („Dead Man’s Cell Phone”) Sary Ruhl w reżyserii Macieja Englerta w Teatrze Współczesnym w Warszawie pisze Anna Czajkowska.

Dyrektor Teatru Współczesnego w Warszawie, Maciej Englert, to znakomity reżyser, z ogromnym doświadczeniem, wycuciem sceny i proporcji w łączeniu klasyki z nowoczesnymi pomysłami, który od lat świetnie radzi sobie bez mała z każdym tekstem, nawet dramaturgicznie słabym. Tym razem postanowił zrealizować sztukę autorstwa Sarah Ruhl, popularnej współczesnej dramatopisarki amerykańskiej i eseistki. Jej oryginalny tytuł brzmi „Dead Man’s Cell Phone” (2007), ale w Polsce dramat znany jest jako „A komórka dzwoni” (prapremiera w reżyserii Norberta Rakowskiego odbyła się w Teatrze Współczesnym w Szczecinie w 2011 roku). Jak w wielu tekstach tej autorki i tu również realizm i metafizyka (trudne do zasufladkowania) splatają się z romantyzmem komedii oraz analizą relacji międzyludzkich we współczesnym świecie. Poznając jej wcześniejsze dramaty można zauważyć, że dwukrotna laureatka Pulitzera ma szczególną zdolność wglądu w tajniki kobiecej duszy, nawet jeśli proponuje tekst, który wybitnym nie jest. W przypadku „Dead Man’s Cell Phone”, niestety, skończyło się głównie na dobrych chęciach...

W spokojnej, pustej kafejce, gdzieś w Wielkiej Brytanii (kraj jako miejsce akcji nie ma tu większego znaczenia), samotna kobieta dopija swoją kawę. Do tej pory nieco „uśpiona”, mało zdecydowana w życiowych decyzjach, zmienia się pod wpływem dziwnych zdarzeń – odbiera irytująco dzwoniący telefon komórkowy obcego mężczyzny, który nonszalancko rozsiadł się przy sąsiednim stoliku. Dlaczego to robi? Właściciel nie reaguje, a komórka wciąż brzęczy. Tylko że... on już nic nie może ponieważ... umarł! Fascynacja martwym mężczyzną wkrótce powoduje nieodwracalne zmiany w jej samotnym życiu. Zwariowany świat nowoczesnych technologii wciążą Jean w wir zdarzeń, zmuszając do konfrontacji własnego poczucia moralności, głębokiej empatii z poglądami innych na odpowiedzialność, miłość, a nawet... świat pozaziemski.

Bohaterka wkracza w życie rodziny i znajomych Gordona, umarlaka, który w nietypowy sposób powierzył jej swój telefon, czyniąc ją jednocześnie spadkobierczynią niezłatwionych spraw. Przynajmniej kobieta w to wierzy. Garść niezłych pomysłów, absurd, dziwne zbiegi okoliczności i sporo surrealizmu mogłyby uczynić dramat Sarah Ruhl intrygującym, wciągającym oraz głębiej refleksyjnym. A jednak tak się nie dzieje – tematyczne podstawy sztuki – nieco nudne, trochę infantylne rozważania na temat odczłowieczenia ery cyfrowej – wydają się nietypowe dla sprawnej dramatopisarki, jaką jest z pewnością Ruhl. Autorka lubi badać kwestie śmierci, straty, ubierając je w niebanalny humor. Tym razem czegoś zabrakło – lament nad utratą spokoju, kameralności i intymności kultury przedcyfrowej nie wybrzmiewa zbyt mocno. Jednoznaczne, oczywiste i kategoryczne założenia i konkluzje tracą autentyczność – paradoksalna zdolność tytułowego urządzenia (i osób, które go używają), do jednoczenia i izolowania jednocześnie, nie przekonuje (a mogłaby!). Pierwsza część buduje napięcie, które systematycznie spada, zwłaszcza w drugiej części. Dłuższy, jałowy rozważania nie budzą już ciekawości.

Czego jeszcze może spodziewać się widz? Zamiast znakomitego dramatu, zamiast jakości, której oczekujemy w niezawodnym zazwyczaj Teatrze Współczesnym, mamy jedynie wykwinutą, dopracowaną technicznie grę zespołową. I rzecz jasna ciekawe kreacje poszczególnych aktorów. A to naprawdę sporo! Aktorską klasę niepowtarzalnej, cudownej Agnieszki Pilaszewskiej doceniam nie pierwszy raz – umiejętnie i z finezją wydobywa szczegóły charakteru swojej bohaterki – matki Gordona, jak smoczyca zaborczej, mroźnej i eleganckiej, uroczo niemożliwej i z groteskowym rysem. W miarę postępu akcji pani Gottlieb łagodzi swój chłód, wchodząc delikatnie w głębszą logikę ludzkich uczuć i przekształcając swoją trochę komiksową postać w człowieka z krwi i kości. Zaśmiewamy się, gdy kończy mowę pogrzebową wezwaniem do odśpiewania hymnu Rodgersa i Hammersteina z musicalu „Karuzele”: „Nigdy nie będziesz chodził sam” i słuchając brzęczącej komórki dodaje swobodnie: „Ponieważ zawsze będziesz mieć w kieszeni tę maszynkę, która może zadzwonić...”. Perfekcyjnie prowadzona rola, dopracowana i wyczelowana we wszystkich niuansach, czyni matkę Gordona naturalną i autentyczną. Barbara Wypych wydaje się niezyciowa i trochę nieprawdopodobna jako Jean (przypuszczam, że to zamierzony efekt). Ale bardzo dobrze radzi sobie z rolą głównej bohaterki i ma w sobie tyle dziecięcego wdzięku oraz energii, że nawet śmiejąc się z niej, jednocześnie z wielkim zrozumieniem sympatyzujemy z tą postacią. Choć Jean serce ma na dłoni, o siebie musi jednak zawalczyć – obsesja na punkcie mężczyzny, którego nigdy nie знаła, stoi na przeszkodzie prawdziwemu związkowi. Kawatek jej życiowego tortu wciąż czeka... Mateusz Król w roli Gordona jest równie dobry jak pozostali aktorzy. Razem z Barbarą Wypych podsycają humor i trochę ożywiają przydługie dialogi. Gordon, autentycznie cyniczny, pomaga Jean w uświadamianiu sobie smutnej prawdy – nigdy i w żaden sposób nie był świętym, jego ideał żyje jednak w wyobraźni bohaterki i dodaje mu wciąż witalności – taki baśniowy element w surrealistycznym świecie wykreowanym przez Ruhl, gdzie ziemską rzeczywistość miesza się z zaświatami. Dziwaczność bohaterów jest również zgodna z motywem przewodnim sztuki. Wymienionym aktorom dzielnie dotrzymuje kroku Monika Kwiatkowska jako Hermia, czyli nieco sztywna, wyalienowana emocjonalnie wdowa po Gordonie. W głębi duszy kobieta jest silnie uczuciowo niespełniona i głodna prawdziwej miłości. Pod wpływem wydarzeń staje się nawet zadziorna, z czym jej bardzo do twarzy. Rafał Zawierucha – samotny, nieśmiały Dwight, brat Gordona – jest w zasadzie niezwykle smutny, mimo humoru, który towarzyszy jego działaniom i rozmowom. Dzięki umiejętnej grze aktor łagodzi „cukierkowość” relacji z Jean, co bardzo się przydaje w przypadku tego dramatu. Jeszcze Natalia Stachyra w niewielkich, ale zauważalnych rolach Tej Drugiej i Nieznajomej – podobnie jak pozostali dodaje smaku tej mocno nijakiej inscenizacji.

Z trudem zapominam o treści i widzę cztery znakomite aktorki oraz dwóch równie wytrawnych aktorów, dla których warto odwiedzić warszawski Teatr Współczesny. Publiczność również ich docenia, z uśmiechem oklaskując zespół i myśląc o lepszych inscenizacjach, w których mogliby zagrać. I zagrają!

fot. Magda Hueckel